№ 16. Warszawa, dnia 8 (20) Kwietnia 1881 r. Rok II.




PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ SRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

**Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,**
**w Warszawie:** Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
**Na Prowincyi:** Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
**ulica Niecała Nr 8.**
Cena pojedyńczego numeru 25 kop.

**Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,**
**w Warszawie:** Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
**Na Prowincyi:** Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

## SKŁADKA
na
## POMNIK MICKIEWICZA.

Niezbyt dawno powstała myśl w gronie młodzieży akademickiej w Krakowie, aby największego z naszych wieszczów uczcić pomnikiem, i wszędzie znalazła poparcie.

Fundusze nadsyłane zewsząd — są jednak zamałe, choć staraniem p. Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy), w czasie jej pobytu w Krakowie— znacznie się powiększyły.

Poetka niepoprzestała na tem; uzyskawszy pozwolenie—zajęła się gorliwie zbieraniem składek w Warszawie.

O ile szlachetna jej pomoc będzie w dziele tem skuteczna, dość powiedzieć, że pierwsze ofiary, które na ręce wieszczki złożyli: p. *Jan Zawisza* **rubli 1,000** i p. *Ludwik Górski* **rubli 500**, świetny rezultat zapowiadają.

Niewątpliwie przykład ten znajdzie naśladowców, i my wzywamy czytelniczki do składania choćby najdrobniejszych ofiar, które mogą być nadsyłane do wszystkich redakcyj, lub na ręce p. J. Łuszczewskiej, której adres dla wiadomości czytelniczek podajemy:

**„Warszawa—Królewska, N-r 31.“**

Ofiary w miarę ich wpływu, ogłaszać będziemy w piśmie.

## DO ...

O, kobieto! co z płochą, rozbawioną zgrają,
Z salonu do salonu świetne wozisz stroje,
I jesteś, jak te nocne mdłych powojów kwiaty,
Co wtedy otwierają zamknięte kielichy,
Kiedy błękit gwiaździsty snem otula światy,
A przy każdem ognisku staje anioł cichy—
I zadumanym czołom snu pieszczotę daje;—
Ty, której puste serce goręcej uderza
Tylko na dźwięk muzyki i widok tancerza,
Powiedz mi, co tam w domu robi dziecię twoje?.

*Marya Konopnicka.*

## W ALBUMIE MARYNI.

Kilka obrazków na drogę daje,
I przypomnienie wraz z niemi:
Byś na cudniejsze patrząca kraje,
Nie zapomniała swej ziemi.

Podziwiaj gmachy, co w niebo rosną;
Lecz kochaj tylko, co nasze—
Niechaj myśl, niby jaskółka z wiosną,
W rodzinne wraca poddasze.

Bo cię jak niańka, na swem ramieniu
Wykołysały tu łąk kobierce,
I w ziemi, wodach, nawet w kamieniu—
Matczyne bije tu serce!..

*Michał Bałucki.*

## WYWRÓŻONA.

NOWELLA

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

Mimo to, owa „zmiana“ zawsze jednaka.

Herbata zawsze o piątej i zawsze to samo, — czy przybory do niej srebrne, czy posrebrzane— i ogień ten sam, czy kominek z cegły, czy z marmuru... A więc o treść tylko idzie, o ducha instytucyi, o organiczną całość... Zawysoko, panie Gustawie, — zawołał młodzieniec, i uśmiechnął się — to nie dziennikarski artykuł: poprzestań na niebieskich oczach i alabastrowych ramionach, owych drogocennych, a pociągających darach nieba. Lecz czyto wszystko? — Czyżto wszystko, do czego dusza się rwie?

W tem, drzwi jednego z domków otworzyły się z łoskotem. Próg przestąpiła młoda dziewczyna trzymając w ręku kapelusz, tuż za nią ukazała się otyła kobieta, pogroziła poza głową dziewczęcia i drzwiami trzasnęła.

Rozległ się huk na cichej uliczce, który wstrząsł młodą dziewczyną i pochylił nią, jak podmuch wiatru kołysze młodą topolą.

Potoczyła się, bojąc się upaść, pochwyciła ręką za sztachety—i idąc wolno, dostała się na ulicę. Oparta o żelazną baryerę, zacisnęła ręce, i stała jak posąg z zatraconą myślą, patrząc szklannemi oczami, którym wzrok zasłoniły: ból i rozpacz.

Młody człowiek słyszał łoskot zatrzaskujących się drzwi, i spostrzegł dziewczynę, wspólnie z kumoszkami, które rozciekawione wyglądały przez

szyby. Żadne się okno nie otworzyło — wszystkie drzwi były zamknięte, wszystkie twarze kumoszek surowe, i wszystkie głowy podparte rękami, a ręce zawinięte po łokcie.

Magister filozofii w tej chwili zrównał się z dziewczynką i mimowolnie przykuty nieokreśloną siłą współczucia, stanął—i patrzał. Im więcej patrzał, tem silniej biło mu serce.

— Co to znaczy? — zdobył się na ciche pytanie.

W odpowiedzi nic nie usłyszał, lecz zobaczył czarne oczy, jak wzbierały łzami — i same łzy, spadające powoli w długich przestankach, na bladą twarz. A gdy się spojrzał na włosy, których koloru nie można było oznaczyć, bo świeciły złotem patrząc z blizka, a ciemniały zdaleka.

— Tycianowska szkoła—szepnął, gdyż młodzieniec będąc filozofem, był również artystą.

Drzwi domu powtórnie się otworzyły, kobieta grożąca ukazała się w nich, podparta pod boki, wołając stanowczo i groźnie:

— Odejdź! rozumiesz — odejdź z przed mego domu.

— Milcz!—wybuchnął strasznym głosem filozof-artysta, jak to jest w zwyczaju temperamentów artystyczno-filozoficzno-ognistych.

— Precz ! – krzyknęła czarno ubrana dama z za drzwi.

Trzy susy dzielnych, młodych nóg, pozwoliły młodzieńcowi w mgnieniu oka dotrzeć do wschodów. Jeszcze jeden krok... drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, musiał wracać.

Okna kumoszek w tej chwili otworzyły się.

— Kochanek—szeptały między sobą, wyglądając.

— Kochanek! – powtórzyła głośno grożąca Imość, z okna pierwszego piętra, — ale ja ich nauczę rozumu.

— Z domu poprawy będziesz mi dawać lekcye, rozumiesz, — krzyknął młody człowiek.

— Słyszałyście!—wołała na kumoszki imość—słyszałyście, grozi mi domem poprawy !

— Słyszymy!—zeznały kumoszki głośno—słyszymy jako wdowie Hay—niektóre dodały—uczciwej wdowie Hay—groził domem poprawy.

— I zaświadczycie,—wzywała wdowa Hay.

— Przysięgniemy !

Korzystając ze starań wdowy Hay w celu zabezpieczenia sobie świadków, bohater wypadku zbliżył się do stojącej w tej samej pozycyi dziewczyny.

— Podaj mi pani rękę — odezwał się tonem, napoły proszącym, napoły rozkazującym.

Młoda dziewczyna, czy to pod wpływem męztwa, roztoczonego przed jej oczyma, w ataku na wdowę Hay, uważaną na całej ulicy za nieustraszoną, czy też pod wpływem jaki zwykle wywiera silniejsza natura na słabszą,—nie wiem, dość, że milcząc, podała mu rękę, i milcząc, poszła prowadzona, z pochyloną głową.

Mijali domki, wśród szeptów kumoszek, podobnych do syczeń czarownic. Zwrócili na prawo, w drugą, długą ulicę, — małe domki, zieleń i ciszę.

Odetchnęli oboje i przystanęli, patrząc sobie w oczy.

Ona w tej chwili swoje zakryła rzęsami — i niewiem dlaczego i poco, blada buzia buchnęła płomieniem, który zgasł.

On się nie zarumienił, gdyż wtedy myślał głęboko, a rezultatem tych głębokich myśli, wyszła następująca zdrowa i na czasie rada:

— Może pani uznasz za właściwe umieścić na główce kapelusz.

Dziewczynka powtórnie oblała się ponsem, na samą myśl zgrozy, jak prawowita Angielka, mogła wyjść na ulicę bez kapelusza.

Toaleta skończona w jednem mgnieniu oka, i znowu spojrzeli sobie w oczy z niemem pytaniem, co dalej?

— W niebieskim kolorze do twarzy ci miss— przemówił młodzieniec.

Nie tych wyrazów się spodziewano, i dlatego, po wązkich, a długich ustach, przebiegł smutny uśmiech.

— A więc, żeglujmy wesoło i śmiało po rozhukanych bałwanach, które wzburzyła wdowa Hay.

Przemowa ta, świadcząca o rozumie i poetycznym ustroju młodego człowieka, dobre zrobiła wrażenie na umyśle dziewczęcia—zaczęła nabierać otuchy i wiary—postępowała z pewną odwagą, i..... któż z odważnych niema w sercu nadziei?..

— Zmiana losu—szepnął do siebie mimowoli, spoglądając na towarzyszkę.

— Pan coś powiedział, przepraszam, nie słyszałam—odezwała się bojaźliwie a cicho, miss.

— Pani jesteś blondynką,—przemówił głośno dżentlemen.

— Takby być powinno,—gdyby...

— Gdyby cóż takiego?

— Gdyby nie oczy. Mówią, że mam ciemne.

— Czarne, — poprawił. I pani o tem nie wiesz?

— Nie zastanawiałam się.

— Nad kolorem swoich oczu?

— Tak, sir.

— To szczególna.

— A jednak, jak moją matkę kocham, prawdę mówię.

— Masz pani matkę?

— Nie, sir, umarła—lat temu pięć, lecz zawsze ją kocham,—kończyła, cicho wzdychając.

— A ojciec? — pytał młody człowiek swobodnie, jak gdyby chciał przedłużyć rozmowę.

— Mieszka blizko Davonshire, niedaleko od morza; jest fermerem, grunta mamy zajęte pod owocowe drzewa.

— Pod ogród?

— Tak, sir. W Davonshire dużo ogrodów, same ogrody—owoce są głównym dochodem mego ojca.

— I pani porzuciłaś ojca i ogrody—dla Londynu?

— W domu zostawiłam pięć sióstr i trzech braci; jako najstarszej, należało ulżyć staremu ojcu. Fanny mnie zastępuje przy gospodarstwie, a ja przyjechałam do Londynu, szukać pracy....

— I szczęścia—dokończył towarzysz.

Na to orzeczenie nie było odpowiedzi. Bo czyż się znajdzie młoda dziewczyna na świecie, nie szukająca szczęścia? Nie wszystkie szukają pracy—lecz niema ani jednej, którąby nie miała pewności znalezienia szczęścia, pomimo nawet braku czasu, zastanowienia się nad kolorem swych oczu.

(d. c. n.)

## Z TYGODNIA.

— „Alleluja!“ wesoło rozbrzmiewa w całym świecie chrześcijańskim, budząc radość i nadzieję nawet w sercach zwątpiałych, a którym zmartwychwstanie Pańskie zwiastuje po dniach smutku i niedoli—radosny dzień spełnionych wiar i nadziei.

Wiary w *dobro* na świecie, nikt nam nie odejmie.

Kiedyś, zmartwychwstanie ono, obejmie panowanie nad złem, fałszem i obłudą. Myśli szlachetne, cele wzniosłe, przejawiające się w społeczeństwie, w czyn wejść muszą, dając pierwsze posiewy tego *dobra* upragnionego, przeczucie którego jest w sercach ludzkich podporą dla wątpiących, ratunkiem dla upadłych, i gwiazdą przewodnią dla wierzących.

Jakby w myśl tego, cośmy powiedzieli, coraz serdeczniej ludzie krzątają się około gojenia ran w społeczeństwie oddawna wytworzonych, wskutek anormalnie pojmowanych stosunków. Weźmy na przykład żebractwo, z którego tak ohydne rzemiosło robią ludzie w naszych czasach, posługując się, w celu wzbudzenia litości, sztucznie wytworzonemi ranami, wypożyczanemi dziećmi, męcząc je i głodząc, aby jałmużnę wyłudzić.

Nie mówiąc o dawniejszej epoce. Inne były warunki w wiekach średnich, gdzie głód i pomór, mało rozwinięta praca rąk ludzkich, a ztąd brak jej, zmuszały poniekąd całe gromady do tułania się i życia o proszonym chlebie.

Wysokie pojęcia religijne przychodziły tu z pomocą, uświęcając poniekąd ten sposób życia, bo żebracy ci, swą włóczęgę uprawniali, zwiedzając miejsca uświęcone, a życie ich ascetyczne, dawało dowody rzetelnej wiary.

Wtedy to, litościwe królowe, księżniczki, kasztelanki, chleb w płaszczach swych nosiły, darząc nim, również jak datkiem pieniężnym, drogą spotykanych nędzarzy-pielgrzymów.

Częste pożary, i tym pydobne klęski, pozbawiały ludzi mienia, a dorabiać go się pracą rąk własnych, o wiele trudniej było niż dzisiaj.

Więc powtarzamy: „żebractwo wytworzyło się w skutek ówczesnych warunków.“

Dziś, gdy praca potężnie rozwinęła się i zapotrzebowała massy rąk ludzkich, gdy na brak robotnika zewsząd narzekają; żebractwo jest grzechem, jest ową raną, jątrzącą w społeczeństwie, z której zły i nie moralny pierwiastek się sączy.

Dziś, najsłabsze siły zużytkować w pracy się dają, powracając godność człowieczą, wyrzutkowi społeczeństwa.

Tak, żebractwo dziś istnieć nie powinno, z ligi tej do pracy zrekrutować się dadzą spore zastępy; prawdziwie niedołężni muszą znaleźć przytułek w zakładach, na wytworzenie których, ludzie *z pracy* swej odsetki złożą, a bogacze ofiar nie poskąpią.

Właśnie myślą tą żywo zajęte jest „Stowarzyszenie anti-żebrackie,“ powstające staraniem zacnie myślących obywateli kraju. Błogie skutki, nieobliczone korzyści, bezwątpienia, przyniesie nam, gdy w czyn wejdzie Ustawa, burząca rzemiosło żebracze.

Powodzenia z duszy i serca życzymy!

— Drugą rzeczą również niezbędną, również palącą, a z desideratów w czyn się przyoblekającą, jest stowarzyszenie sług, za inicyatywą pp. Dębskich, wchodzące w życie.

Jedna z naszych prenumeratorek pisze do nas o żywem zainteresowaniu się tą kwestyą na prowincyi, i zapytuje, czyby tamtejsze sługi, opłacając składkę, nie mogły również korzystać z dobrodziejstw instytucyi ?

Zapytywany przez nas pan Mecenas Wierzchlejski, jako jeden z promotorów Ustawy, łaskawie raczył objaśnić, że, co do sług z miast prowincyonalnych, przyjęcie ich w grono członków Stowarzyszenia Warszawskiego, zawieleby zawikłań sprowadziło.

Najlepiej więc, gdy sługi tamtejsze, w każdem z miast, podobne instytucye utworzą. Wszędzie

znajdą się ludzie dobrej woli, którzy zajmą się inicyatywą, i przyjdą z pomocą szlachetnemu celowi.

Czekamy i tu z ufnością, iż złe, na dobre się przemieni.

— Mówiąc o dwóch powyższych stowarzyszeniach, czyż możemy opuścić, najgoręcej obchodzącego nas „Towarzystwa przyjaciół Dzieci.“

Wiele już na tej drodze zrobiono. Ustawa napisana przez kompetentnych, a wielkiego serca ludzi, oddaną została pod sąd ogółu.

Zebrania sobotnie w Resursie kupieckiej, rozbierają każdy paragraf Ustawy, aby do zatwierdzenia iść mogła, w najpraktyczniejszej, odpowiadającej potrzebom—formie.

Dziwi nas jednak, obojętne traktowanie przez ogół ludzi wyższej intelligencyi — treści Ustawy. Myśleliśmy, ogłaszając ją całą w piśmie, że wywoła dysputy, zainteresuje choćby dalej zamieszkałych, i że w tym przedmiocie niejeden — listem z uwagami swemi nas obdarzy;—tymczasem dotąd jeden list tylko, tyczący się Ustawy, odebraliśmy ze Szczuczyna, ręką kobiety rozumnej i szlachetnej napisany; list ten został na Zebraniu odczytany.

Spodziewamy się więcej takich uwag, a z chęcią zakomunikowane zostaną przez nas członkom-założycielom. Nie jedna trafna myśl, może wpłynąć na rozjaśnienie mniej zrozumiałego paragrafu, co dla niewtajemniczonych bliżej, często stać się może.

Kobiety, wiele tu swych zdań i przekonań wyjawić mogą, a jako z praktyką w tym względzie, więcej niż mężczyźni obeznane, mogą i powinny uważnie przeczytać Ustawę wydrukowaną w N-rze 10-tym „Nowych Mód Paryzkich,“ a zastanawiając się nad nią, sądem swym z nami się podzielić listownie, lub osobiście.

Wzywamy tu kobiety, nie wątpiąc, iż każdy rozumnie myślący mężczyzna, również poczuwa się do obowiązku zainteresowania się i przejęcia rzeczą tak ważną, bo zdrowie, nawet życie dzieci, tych przyszłych obywateli kraju — jak ich Wiktor Hugo nazywa— mającą na celu.

Zdrowie i życie dziecka, tej najwyższej pociechy i szczęścia rodziny, jakże kruche, jak od lichego nawet przypadku zależne.

Widzimy w ostatnich czasach, jak zabójcze choroby po kilkoro z objęć rodziców wyrywają, zalewając serca ich goryczą.

Wszelkie zatem środki, zapobiegające nieszczęściu, a wcześnie użyte, uchronić mogące od choroby, powinny być skwapliwie przez matki zastosowane.

D-r Szokalski w „Kur. Warsz.“ podaje środek przeciw dyfterytis; przenosimy go tu dosłownie, aby i nasze czytelniczki skorzystać z niego mogły:

„Jednym z najlepszych środków uchronienia dzieci od panującej obecnie dyfterytycznej zarazy, jest systematyczne wymywanie co rano całej powierzchni jamy ustnej, oraz języka — kwasem salicylowym.

Bierze się 20 gran rzeczonego kwasu, rozpuszcza się w jednej uncyi spirytusu i dodaje do tego 2 krople miętowego olejku.

Z tej mięszaniny do $^1/_4$ szklanki wody wkrapla się 20 kropli, a okręciwszy ręcznik o palec, macza się go w roztworze i wymywa nim dziąsła, język i wewnętrzną ścinę policzków, sięgając aż do migdałków.

Dzieci przyzwyczajają się bardzo łatwo do takiego porządku, i zdaje się nawet, że im sprawia przyjemność.

Ktoby chciał ostrożność dalej posunąć, musiałby dużym pędzlem malarskim z delikatnych włosów, wymywać tymże samym roztworem i jamę gardzieła; nie jest to jednak koniecznem, gdyż owa nawet maleńka ilość kwasu salicylowego, jaka się po wymyciu ust w ślinie rozpuszcza i przy jej przełykaniu, zwilża ściankę gardlaną, do zniszczenia zarodków dyfterycznych wystarcza.“

— Również piękną uważamy myśl pewnego pedagoga, który bacząc na szkodliwe wpływy, jakie złe urządzenie szkół na zdrowie dzieci wyrządza, — obmyślił konkurs na budowę domu szkolnego, z uwzględnieniem wszelkich warunków hygienicznych.

Fundusz na to przeznaczył ów zacny człowiek w ilości 50—60 tysięcy rubli, i za pośrednictwem „Kłosów“ wzywa pp. architektów do konkursowego wykonania planu, ustanawiając dwie nagrody: jedną rs. 500, za najlepszy wzór budynku szkolnego, drugą rs. 200.

Oba plany staną się własnością pana pedagoga, który poniesie koszta konkursu i budowy, i którego nazwisko będzie wymienione w czasie właściwym.

A błogosławione będzie to zacne imię przez rodziców, bo czyż nie widzimy jakie złe nurtuje młody organizm z wadliwie urządzonych sal szkolnych! Ani na właściwe przewietrzenie pokoi zaciasnych w stosunku do ilości zgromadzonych dzieci, ani na wygodniejsze urządzenie ławek twardych, bez oparcia, częstokroć będących przyczyną licznych skrzywień i ułomności,—dotąd niezwracano uwagi, pomijając lekceważeniem i obojętnością rzeczy tak wielkiej wagi.

Prawda, iż przed kilkoma laty, d-r Markiewicz z katedry głosił prelekcyę, publicznie oskarżając nasze szkoły o niesumienne uwzględnienie warunków, wśród których młodsze pokolenie naukę pobierać musi.

Odczyt ten jasno i dobitnie rzecz malujący, a poparty skutecznie cyframi, na razie zrobił wielkie wrażenie, prawie cała prasa poparła wywody prelegenta; lecz nie długo ucichło wszystko, i leżałoby *ad acta* jeszcze czas jakiś, gdyby nie projekt pana pedagoga, budzący objawy żywotniejsze na przyszłość.

Z radością objawy te witamy, wróżąc im słuszne uznanie i powodzenie.

— Ze zdrowiem naszem wiele też ma styczności kuchnia; nie tak znów wielki przeskok zrobimy, przechodząc do książeczki świeżo wydanej przez panią Paulinę Szumlańską. p. t. „Skrzętna gospodyni.“

I rzeczywiście, skrzętna gospodyni znajdzie tam przepis jaknajszczegółniej przyrządzonych potraw, szczególniej do miejskich warunków zastosowanych, gdzie z groszem bardzo liczyć się wypada, nie lekceważąc przytem żołądków, jako głównych gospodarzy ciała — niezdrowemi przyprawami.

Na uwagę też zasługują przepisy pieczenia w miniaturze bułek, ciasta, ciasteczek, zastosowane do angielskiego piecyka, w mieście jedynie w użyciu będącego, tudzież, przygotowanie zapasów *koniecznych* dla gospodyni miejskiej, która *en gros*, we wszystko, dla braku miejsca zaopatrywać się nie może.

Polecamy więc „Skrzętną gospodynię“ — oszczędnym gosposiom, a wybornym podręcznikiem być może.

Na zakończenie powiemy o pokarmie dla ducha, jaki w nader estetycznej formie przedstawi się w „Historyi literatury Powszechnej,“ d-ra Jana Scherra, przełożonej i uzupełnionej licznemi przypiskami w dziale tyczącym się literatur słowiańskich, przez Bronisława Zawadzkiego.

Zeszyt pierwszy tego dwutomowego dzieła cennego, bacząc na nazwisko autora i tłomacza—ukaże się zaraz po świętach.

W Niemczech drukowało się ono w 6 ciu wydaniach, co daje dostateczną rękojmię wartości dzieła.

Oddawna wydanie literatury Powszechnej, w formie przystępnej i jasnej dla ogółu—było pożądanem.

Dzieło Scherra najwięcej nadawało się swą treściwością i formą przystępną do przyswojenia go na użytek naszym rodakom.

Wyborny może stanowić podręcznik dla prywatnego studyum literatury powszechnej, zrozumiały dla każdego, wyczerpujący sumiennie przedmiot, a łatwy i powabny w czytaniu.

W miarę wychodzenia zeszytów, będziemy pozmajamiać czytelników z ich treścią, a uznane zasługi tłomacza, uzupełniającego własnemi dodatkami oryginał, zalecają dzieło to szerszemu kołu czytelników.

Cena w Warszawie rs. 5, które mogą być wniesione w całości, lub ratami, płacąc przy odbiorze pierwszych pięciu zeszytów po 1 rublu.

Cena wraz z przesyłką na prowincyi rs. 6.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą.

Uprzystępnienie warunków prenumeraty, powinno znacznie wpłynąć na pokup tak cennego dzieła.

*M. R.*

---

# Gawędy botaniczne.

Przez

WINCENTEGO NIEWIADOMSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wynalazek mikroskopu złożonego, jak to nadmieniłem wyżej, sięga 1590 roku. Holendrowi, Zacharyaszowi Jansenowi, zawdzięczamy to przecudowne odkrycie, pomimo pokuszeń na tejże drodze, współziomka jego, alchemika Drebbleina, Neapolitańczyka Fontana, a po nich: Rogera, Bacona, Recorda, Viviani'ego i innych badaczy.

Do pierwszych mikroskopów złożonych, zaliczyć nadto winniśmy, wynalezione przez d-ra Hooke'go w 1656 roku, — przez Eustachego Divini'ego w 1668 r.,—i wreszcie przez Filipa Bonani'ego w 1698 r.

Pierwotne te narzędzia były olbrzymiej średnicy; — rura Divini'ego, przedstawiała grubość ludzkiego uda.

Mikroskop udoskonalonym został przez Newtona, a następnie przez Bahera i Smitha. Po nich pracowali nad ulepszeniem tego narzędzia, Hall, Hooke, Custanze, Adams, Martin, Chester More Hall, który w 1729 roku wykrył achromatyzm (¹) i Euler, który pierwszy powziął myśl, zastosowania go do mikroskopu. Wszelako napotkał on w tem zadaniu na niepokonane trudności, to też dopiero w 1823 roku, Wincenty i Karol Chevalier'owie, zbudowali pierwsze mikroskopy istotnie achromatyczne.

Mikroskopy tego rodzaju, ulepszone zostały przez Amici'ego i Rossa.

W rezultacie, jeżeli chcecie, czytelniczki, rozbierać rośliny, potrzeba Wam zaopatrzyć się przynajmniej w lupę z obu stron wypukłą, do 24 razy powiększającą. Do tego dołączcie dwie lub trzy igły, tyleż skalpeli, dwie małe cążki i maleńkie nożyczki.

Chcecież dalej posunąć poszukiwania? Zaopatrzcie się, panie, w mikroskop, który odpowiednio do waszego upodobania i zasobów, kosztować może 25 do 180 rubli. W tej ostatniej cenie będziecie mieć istne cacko.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W chaosie wszelakich kształtów przyrody i wszelakich jestestw stworzenia, istnieje jednostka będąca punktem ich wyjścia,—źródłem wspólnem, łączącem między sobą osobniki, gatunki, rodzaje, rodziny, rzędy, rasy i królestwa. Tą jednostką jest *komórka*, pierwszy element, — pierwszy organ zasadniczy, — tajemnicze jajko, z którego czerpnęły istnienie: *kryształ, roślina, zwierzę i człowiek.*

Komórkę tę składa mały pęcherzyk, prawie kulisty. Jest on tak maleńkim, że go okiem gołem dostrzedz niepodobna; — szerokość jego dochodzi niekiedy tylko kilku setnych milimetra!

A jednak w nim wykrywamy cuda niespodziewane. W tej bowiem kulce niewidocznej, potrzeba poszukiwać pierwotnego ustroju rośliny, obdarzonej już życiem, posiadającej wszelkie warunki do swego rozwoju i rozrodu.

Rozczłonkujcie, panie, jakąkolwiek materyę roślinną, ziele, drzewo, liść, kwiat lub owoc; podzielcie ją na najdrobniejsze cząsteczki, używając najdelikatniejszych skalpelów, najostrzejszych igiełek i nożyczek, a gdy pozyskacie czą-

(¹) Achromatyzm jest udoskonaleniem optycznem, za pośrednictwem którego usunięte zostają kolorowe obwódki (zwykle złożone z dwóch barw: żółtej i niebieskiej), jakie przedstawiają różne przedmioty obserwowane przez pryzmaty lub soczewki. Do otrzymania tego skutku, posługują dwa gatunki szkła: flintglas i krownglas.

steczkę tak maleńką, że dalej dzielić jej niepodobna, rozpatrzcie się w niej pod mikroskopem. Cóż wówczas spostrzeżecie?

Oto mnóstwo poskiejanych z sobą komórek, które potrzeba bardzo długo, uzbroiwszy się w angielską cierpliwość, dalej rozdzielać, jeżeli chcecie otrzymać komórkę pierwotną.

Przejawia się ona u podstaw wszelkiego utworu mineralnego, roślinnego lub zwierzęcego.

Protoplastą zwierzęcia, rośliny, kamienia, jest komórka, z pozoru tak licha, maleńka, a w rzeczywistości tak szczytna, wspaniała.

Najkolosalniejsze dęby i baobaby, są niczem innem, jak tylko olbrzymiem skupieniem komórek. Wodorosty, zapełniające oceany i lasy pokrywające ziemię, reprezentują nam tylko komórkę, jakkolwiek już w jej całym imponującym rozwoju. Komórką są: zboża i trawy łąkowe,— i trzody, które się niemi żywią—i ludzie, których pożywienie stanowią owe zboża i trzody.

Komórki przedstawiają nam kształty przeróżne. Zrazu kuliste, ulegają przeistoczeniom w swej postaci zachodzącym, wskutek ciśnienia, jakie te komórki wzajemnie na siebie wywierają.

Znachodzimy je przeto podłużne, spłaszczone, łykowe, porowatę, kropkowane, wieloboczne i wszelakie inne postacie, wynikające prawdopodobnie z połączenia się wielu komórek.

Mikroskop wykrywa nam nietylko przerozmaite kształty komórek, ale, co jest rzeczą nierównie ważniejszą, pozwala nam wejrzeć w jej wnętrze,—wyśledzić najskrytsze tajemnice jej ustroju,—a między innemi, odsłania nam dwie powłoczki na sobie spoczywające, które otaczają komórkę.

Jedna z nich, to jest *zewnętrzna*, zwana *błoną komórkową* (membrana cellularis) jest bardzo cienką, całkiem bezbarwną i przezroczystą. Druga *wewnętrzna*, subtelna, nosi nazwę: *pęcherzyka pierwotnego*, (Utriculus primordialis).

Błona komórkowa składa się: z węgla, wodoru i tlenu; — do tych trzech pierwiastków, komórka pierwotna dołącza czwarty: azot, tworząc związek, z którego powstają wszystkie zjawiska życia i rozrodu.

Otóż, mamy przed sobą utwór komórki,— organizm niezależny,—istniejący sam przez się,— posiadający siłę do życia i rozpłodu. Czerpie on pokarmy płynne z ciał go otaczających,—pochłania je swemi niewidocznemi porami, — i tworzy za pośrednictwem właściwych mu procesów chemicznych, nowe ciała całkiem od niego różne.

Jednym z pierwszych wytworów komórki, przejawiających się w jej wnętrzu, jest zgrubienie jej powłoki, jak to znachodzimy w komórkach bzu.

Pomiędzy błoną komórkową, a pęcherzykiem pierwotnym, rozpościera się nowa warstwa, po niej druga, trzecia i inne jeszcze, wypełniające prawie całkiem komórkę.

Rzecz jednak dziwna,—warstwy te częstokroć nie są ani jednorodne, ani pełne. Podziurawione, popękane, powykrawane w wężownice lub w obrączki od siebie równoległe, przedstawiają miejsca puste, które wszakże wszędzie osłania błona komórkowa.

Niezależnie od pogrubienia ścian komórki, w jamie jej, jakkolwiek hermetycznie zamkniętej, znachodzimy przeróżne materye, jako to: powietrze, wodę, olej lub też cukier, mączkę, cienkie włókienka kryształowe, lub wreszcie materyę barwną, najczęściej zielonego koloru.

Czy wiecie, czytelniczki, czem jest owa materya zielona?

Oto składa się ona z maleńkich komórek, zapełnionych ziarneczkami, widzialnemi wskutek przejrzystości ich powłoczki,—i gdybyśmy posiadali silniejsze mikroskopy od dotąd wynalezionych, uwidoczniłyby nam one prawdopodobnie, nowe komórki, wsunięte w te komórki wewnętrzne, aż do granic przechodzących pojęcie naszej wyobraźni, zdumionej tą niewymierną po dzielnością materyi, i jej obejmującemi jamkami.

Zielone te ziarenka, nadające barwę główną roślinom, były przedmiotem długich i cierpliwych obserwacyj,—dotąd jednak zachodzą pewne wątpliwości, odnoszące się do ich rzeczywistej natury.

Słynny fizyolog, Dutrochet, wystąpił w tym przedmiocie ze śmiałą hypotezą.

Przypuszcza on, że ta materya zielona, czyli tak zwany w języku naukowym *chlorofil*, jest rodzajem *systemu nerwowego* w świecie roślinnym. Innemi słowy: w materyi tej poczęłaby się rodzić czułość w ten sposób, *że roślina byłaby tem samem, czem jest zwierzę w stanie zarodkowym*. Wprawdzie nie może się ono wówczas jeszcze poruszać, lecz już żyje, odczuwa bezwątpienia wrażenia, i odpowiednio do nich, doznaje smutku lub zadowolenia, — znajdują się zatem na granicy jestestw organicznych.

Według innych botaników, chlorofil, będący związkiem rozmaitych materyj, jako to: wosku, żywicy, a głównie żelaza, przedstawiałby pewne podobieństwa z krwią zwierząt, która, jak wiadomo, zawiera w sobie zawsze żelazo.

Gdy roślina pozostaje w miejscu pozbawionem światła, staje się bladą, wątłą.

Otóż, jeżeli w tym stanie skropimy ją jakąkolwiek solą żelazną, dostrzeżemy, że wkrótce odzyska swą barwę zieloną, podobnie jak osoby dotknięte bladaczką, odzyskują zdrową cerę, pod wpływem leków, w skład których wchodzi żelazo.

Chlorofil, wiecie już teraz, panie, że jest zielenią liścia, — przepyszną barwą przyodziewającą całe królestwo roślinne.

Zdarza się często, że maleńkie ziarenka chlorofilu, są nie dość zgęszczone. W tym razie chlorofil tworzy rodzaj zielonej galarety, której włókienka, wstęgi lub blaszki, przedstawiają wewnątrz każdej komórki, pierścienie lub wężownice nieokreślonej wytworności.

Chlorofil jest tak cudownie podzielnym, że jak obliczono, dziesięć jego gramów wystarcza do zabarwienia bogatą zielenią — najwynioślejszego drzewa!

(d. c. n.)

# Z ŻYCIA POETY.

RYS HISTORYCZNY

przez JANA THORAU.

przekład Moniki Rybickiej.

„When the Angelus is ringing,
Near the convent will you walk,
And recall the choral singing,
Which brought angels down our talk?
. . . . . . . . . . . . . . . . .

Will you oftly —
Murmur softly:

'Here ye wathed me morn and e'en,
Swectest eyes, were ewer s'een."

(„Gdy nad wieczorem uderzą we dzwony,
Z klasztornych murów rozlegną się tony,
I „Anioł Pański" pod niebiosa płynie,
Czy często wspomnisz w takowej godzinie,
Jak niegdyś z tobą spędzały tu mile —
„Najsłodsze" oczy, pełne szczęścia chwile?..

Tak brzmi kilka zwrotek owej miłosnej piosenki, którą utalentowana angielska poetka [1]) przypisuje umierającej Katarzynie de Attayde. Ten, do którego te wiersze były zwrócone, opiewał niegdyś oczy Katarzyny, jako „najsłodsze" które kiedykolwiek na świat patrzały.

Odwróćmy kartę, a zobaczymy jak upłynęło życie tego, co potrafił natchnąć tak wielką miłością i pozostawić po sobie tak głęboki żal i współczucie.

Byłto Luis de Kamoens, najsławniejszy portugalski poeta.

Opis jego życia jest elegią, która, jak raz usłyszane dźwięki eolskiej arfy, na długo pozostawia smutne wspomnienie w duszy słuchacza.

[1]) Elżbieta Barret Browning.

Gorliwy patryota, człowiek wielkiego umysłu, serca i niepokalanej prawości, mógł się stać wielce pożytecznym dla swej ojczyzny, gdyby nie złowrogi los, który go całe życie prześladował.

Ojczyzna tego wielkiego poety, która teraz szczyci się jego imieniem, nie umiała wówczas ocenić, ani żarliwych, patryotycznych uczuć, ani prawości jego charakteru i wielkiego talentu.

Uwikłany w sieć intryg, prześladowany i zawiedziony przez swoich za to, że był szlachetnym i prawym, całe życie walczył w imieniu prawdy, którą umiłował nad wszystko.

Urodzony w roku 1524 w Lizbonie, był synem kapitana okrętu, Simona Kamoensa, który w roku 1552, przy rozbiciu takowego na wybrzeżu Goa, życie utracił.

Simon Kamoens wysłał syna swego na uniwersytet do Koimbry. Uniwersytet ten, jedyny w Portugalii, w roku 1291 założony w Lizbonie, a 1308 do Koimbry przeniesiony, znany był za czasów Kamoensa z naśladownictwa starożytnych, które wówczas uchodziło za wielką zasługę.

Koimbra jest miastem zbudowanem nieregularnie, choć obszernie, rozciągającem się z jednej strony ponad stromemi skałami, a z drugiej wzdłuż prawego brzegu Mondego.

W otaczających je ogrodach, winnicach i cytrynowych gaikach, powziął utalentowany młodzieniec pierwszą myśl, do swego wielkiego bohaterskiego poematu, który w dojrzalszym wieku ukończony, unieśmiertelnił jego imię.

Po ukończeniu studyów wrócił Kamoens do Lizbony. Tam, dzięki swym zdolnościom, został powołany na dwór, gdzie umiał pozyskać względy króla Jana III i jego małżonki Katarzyny austryjackiej, siostry Karola V.

Kamoens był młodzieńcem średniego wzrostu, blondyn, o nizkiem czole, pełen życia, zawsze miły i ujmujący w obejściu, wywierał niezatarte wrażenie na umysł niewieści. Dumne damy dworu nie kryły się nawet z uwielbieniem dla niego i zdołały go przyznęcić do swego kółka. On zaś wzamian za to pod marmurowem sklepieniem królewskiego pałacu, lub przy szmerze wodotrysku, uprzyjemniał im czas gitarą i piosenkami.

Względy tylu znakomitych dam dworu, działały usidlająco na młodzieńca, który odebrał skromne wychowanie, a obcowanie wśród wykształconych kobiet, wywierało dobroczynny wpływ na ducha poety.

Z pośród wszystkich, Kamoens wyróżnił i pokochał Katarzynę de Attayde, gdyż w niej znalazł te przymioty, których w innych nie widział; słynęła ona również dobrocią, jak i zachwycającą pięknością!

Przy spotkaniu, młode i niedoświadczone ich serca nie przeczuwały, iż mogą się mylić w uczuciach, podczas gdy Kamoens w niej tylko urzeczywistnioną Muzę, Katarzyna w nim wcielonego poetę zdawała się poznawać. W tym czasie wszystkie jego pieśni były do niej zwracane, tak, że nakoniec sama Katarzyna musiała usunąć wszelkie powątpiewania, i uwierzyć, że jest namiętnie i bez granic kochaną; chociaż w swej dziewiczej nieśmiałości i skrytości, umiała przytłumić uczucia, jednak zdradzały ją, jej „najsłodsze" oczy, których wyrazu niezrozumieć było niepodobieństwem.

Krótkie upojenie szczęścia nastąpiło, nieoczekiwane, a jednak spodziewane spotkania, poufne rozmowy w czasie przechadzek wzdłuż muru klasztornego lub pod zielonemi cyprysami, gdzie śpiewy choralne z poblizkiej kaplicy, wtórowały słowom kochanków, niejedno pobieżnie rzucone spojrzenie z okna,.. lecz jakież tego następstwa? Oczy zazdrosnych kobiet już dawno odgadły ową tajemnicę, a ponieważ poeta przestał im hołdować, odsunęły go od siebie, jak zużytą zabawkę. Mężczyźni zaś, widząc wzrastającą sławę poety, a będąc mu oddawna niechętnymi, znienawidzili go teraz tem więcej, że zerwał najpiękniejszy kwiat, który oni daremnie zdobyć usiłowali.

Upadek Kamoensa był rzeczą ułożoną, a on, daleki jeszcze od złowieszczego przeczucia, marzył snem szczęścia, na co wrogowie jego spokojnie patrzyli, bo byli pewni końca tej małej igraszki. Kiedy plan nakoniec dojrzał i nie wiele już brakowało, ażeby go wykonać, zostali uwiadomieni Ich Królewskie Moście o jego zdrożnem postępowaniu.

Pobożna i surowych obyczajów królowa, uczuła zbyt mało współczucia, dla swej pięknej damy dworu, a od człowieka, który pierw od innych władzców Europy zaprowadził w swym kraju inkwizycyę i przyjął Jezuitów, nie było można się spodziewać pobłażania i wyrozumienia.

Ani łzy pięknej damy dworu, ani błagania nieszczęśliwego poety, nie zdołały zmiękczyć króla. Wydany wyrok skazywał Kamoensa na opuszczenie stolicy; na osiedlenie naznaczono mu Santaro, miejsce urodzenia jego matki.

Czy kochankom dozwolono się pożegnać? niewiadomo; rozkazy królewskie były stanowcze, i wykonano je niezwłocznie.

O Katarzynie wiemy tylko to, że wśród tylu cierpień, serce jej zamarło, i że nigdy nie mogła zwyciężyć tak okropnego ciosu. Zbolały i zrozpaczony Kamoens wstąpił jako ochotnik do floty odpływającej do Maroko, pragnąc znaleźć śmierć w bitwie morskiej lub wśród rozhukanych żywiołów.

Lecz i tym razem plany i pragnienia jego nie zostały urzeczywistnione, gdyż waleczność i poświęcenie odznaczały go wśród innych, a w walce morskiej z nieprzyjacielem pod Ceutą, utracił prawe oko.

Będąc rannym, wrócił do ojczyzny, w nadziei, że wojenne zasługi i zaszczytna blizna, zdołają mu pomódz do odzyskania względów króla.

Wszelako, nieprzyjaciele jego postarali się, by nie otrzymał posłuchania, a ponieważ żaden głos za sprawiedliwością nie przemówił, — wyroku, skazującego go na wygnanie ze stolicy, nie odwołano, i pozostał wygnańcem.

Boleścią i goryczą przejęty, Kamoens, postanowił opuścić ojczyznę nazawsze, i w roku 1553 odpłynął do Indyi, żegnając kraj rodzinny słowami: „Ingrata patria non possidebis ossa mea [1].“

Osobista odwaga Kamoensa, znalazłaby tutaj zupełne uznanie, gdyby nie bezwzględna miłość ku prawdzie.

Odkrywszy wkrótce krzyczące nadużycia portugalsko-indyjskiej władzy, uważał za obowiązek wyjawienie takowych, i w roku 1556, napisał satyrę p. t. „Disparates na India,“ w której schłostał króla, wraz z najznakomitszemi osobami.

Podobne postępowanie pogorszyło los jego, i wydany został wyrok, skazujący go poraz drugi w życiu, na wygnanie.

Tym razem, na miejsce pobytu naznaczono mu Makao, wyspę przy ujściu Tybru, w kantonie należącym podówczas do jenerał - gubernatora wybrzeża Goa.

Tutaj dano mu wprawdzie nieznaczne stanowisko, jako główno - zarządzającego pieniędzmi zmarłych, przynoszące mu jednak dość znaczne dochody, a przytem dość wolnego czasu, który poświęcał poezyi; wszystkiemi wdziękami Wschodu obdarzona natura, dodawała mu natchnienia.

Nie były to już owe liryczne pieśni, sonety, kanzonety i t. p. utwory z szczęśliwych dni przy ukochanej w Lizbonie; teraz Muza jego odezwała się poważniejszemi dźwięki.

Dzieło rozpoczęte w młodości, w cytrynowych gaikach Koimbry, stanęło znowu przed jego duszą, i wykończenie takowego zajęło mu lat kilka. Opisy w Luzyadzie wykonane są z prawdziwie poetyczną serdecznością, która przez żadne osobiste udręczenie przytłumić się nie dała; bohaterskie czyny jego rodaków, ich sława, wspaniałość jego ojczyzny: wszystko to z natchnieniem opowiedziane, nosi cechę nieprzepartej piękności i wielkiego geniuszu.

Bohaterska postać Wasko-de-Gamy, tworzy naturalnie środkowy i główny przedmiot tej galeryi bohaterów, lecz i za nim przedstawia kolejno zadziwiające losy i wielkie czyny innych Luzyadów, tworząc doskonały obraz pochodu bohaterskich Portugalczyków do Afryki i Azyi.

Poeta, naśladując starożytnych klassyków, według ówczesnego gustu, zręcznie przeplata historyę z poezyą, i chrześcijaństwo z mitologią.

Całość tchnie patryotycznem ożywieniem w połączeniu z poetyczną doskonałością. Nieopisanie zachwycające są niektóre epizody, jako to: „Los Inezy de Kastro.“

Kto wie? czy poecie przy opisaniu miłości, czystej i jasnej, jak majowe słońce, nie przedstawił się inny obraz, — miłe oblicze Katarzyny de Attayde, którego rysy miały tak wiele podobieństwa, do nieszczęśliwej Inezy.

Jeszcze dzisiaj w Makao, na wzgórzu tegoż nazwiska pokazują grotę, noszącą nazwę: „Groty Kamoensa,“ gdzie on pisał w ciszy swe poezye.

W roku 1561 został Kamoens z wygnania na wybrzeżu Goa odwołany. Z wykończonym poematem i z zaoszczędzonemi pieniędzmi, wsiadł na okręt; lecz ten przy ujściu Kambodżii został rozbitym, a Kamoens cudownym sposobem uratował się wraz z przemoczonym manuskryptem, za pomocą deski; całe zaś jego mienie pochłonęły fale.

Pozbawiony możliwych środków utrzymania, został znów przez nieprzyjaciół ścigany, prośbę zaś jego o wsparcie odrzucono, i na domiar osadzono w więzieniu.

Uwolniony z takowego i zmuszony pozaciągać długi, był na nowo uwięziony. Tym razem, uwolnienie swoje zawdzięczał poezyi, która skłoniła ku niemu jakieś litościwe serce.

Pewien portugalski szlachcic, don Buretto, zabrał go ze swą świtą do Sofalu w Afryce, zkąd Kamoens okrętem odpłynął do Lizbony, przyczem obecni pasażerowie, złożyli się na pokrycie jego kosztów podróży.

Wprawdzie przysiągł sobie już nigdy nie wrócić do niewdzięcznej ojczyzny, ale nie mógł przytłumić tęsknoty za nią i oprzeć się chęci zobaczenia jej choć raz jeszcze w życiu.

W nędzy, niepoznany i nieszczęśliwy, stanął znakomity syn Portugalii na ojczystej ziemi. Wprawdzie, miał przy sobie utwór, który powinienby mu drzwi i serca otworzyć; lecz któż zważał na niego i chciał się zajmować poezyą, podczas zarazy panującej właśnie w owym czasie w Lizbonie.

Podobne przyjęcie wydawało się Kamoensowi okropnem, lecz było ono niczem w porównaniu z boleśniejszym ciosem, który go dotknął. Katarzyna nie żyła, te „najsłodsze“ oczy już się dla tego świata na zawsze zamknęły. Jako ścięty kwiat, więdła ona powoli, znosząc w milczeniu przez czas niejaki swoje cierpienia. Poecie, jako najdroższemu i jedynemu swemu przyjacielowi— pozostawiła wstążkę, którą w dniach szczęścia nosiła we włosach. Katarzyna wiedziała dobrze, że ten upominek tak małej wartości, zostanie mu wręczonym.

Nastąpiły teraz dla Kamoensa trzy lata okropnej nędzy i wewnętrznego, moralnego cierpienia, wskutek czego opanowała go czarna melancholia.

Nakoniec, w roku 1572, wydaną została „Luzyada.“ Młody król, Sebastyan, wówczas w latach prawie dziecięcych, przyjął łaskawie ofiarowany mu poemat i powziął prawdziwą życzliwość ku poecie, którą wkrótce czynem potwierdził, nadając mu pensyę wynoszącą około.... 75 grzywien rocznie. Dar w istocie książęcy od władzcy skarbów Wschodu... Biedny król, który tak nagradzać był w stanie!.. Bogaty poeta, który za taką cenę zostawił światu Luzyadę!...

Dalszemi dowodami względów książęcych dla poety, było zatrzymanie go u dworu.

Trudno wypowiedzieć, ile kosztowało nieszczęśliwego poetę i jakie ponosił codziennie udręczenia i męczarnie, słuchając szmeru wodotrysku, patrząc na te marmurowe sklepienia i na te miejsca, z któremi go wiązało tyle miłych wspomnień, lub też przechadzając się wzdłuż muru klasztornego, zkąd z kaplicy „Anioł Pański“ go dolatywał.

Gdy dumne piękności dworu, nowe słońca, które ukazały się podczas jego nieobecności, prosiły go o nowe pieśni i nowe melodye, jakież okropne cierpienia szarpały jego biednem sercem, a bolesne echo przeszłości przejmowało jego duszę!

Jednak pobyt u dworu, był kwestyą życiową dla poety, gdyż było prawie niepodobieństwem, utrzymanie się z ofiarowanej mu jałmużny, w której, prędzej szyderstwa, niż dobrego czynu, dopatrzeć było można.

Młody król Sebastyan, chcąc odróżnić się od innych książąt, nadał sobie tytuł „najpokorniejszego,“ i przejął się pałającą nienawiścią ku „niewiernym,“ jako dowód oddania się Kościołowi. Wkrótce doszło do tego, że wrząca krew jego, uczuła potrzebę odznaczyć się czynami osobistej waleczności.

Licząc zaledwie 24 lat wieku, przedsięwziął wyprawę przeciw niewiernym, i zginął bez wieści w bitwie pod Alkazarem. Wraz ze śmiercią króla, utracił Kamoens owe liche wsparcie pieniężne i w ogóle całe swe utrzymanie, wskutek czego popadł w wielką nędzę.

Lecz nikt nie troszczył się o niego, prócz indyjskiego niewolnika, przybyłego z nim razem z dalekiego Wschodu. Jak tylko zmrok zapadał, ów wierny sługa ode drzwi do drzwi pukał i mozolnie uzbieraną jałmużną, swego pana od głodowej śmierci ochraniał.

Jak konający łabędź, wylewał poeta na śmiertelnem łożu w swych pieśniach skargi i żale, które rzewnemi dźwięki przejmują. Była to znowu liryka, która jak niegdyś, w najszczęśliwszych dniach jego życia, tak też i przy końcu onego, była jego towarzyszką.

Nakoniec, przyjęto go do szpitala w Lizbonie, gdzie w roku 1579, mając lat 55, życie zakończył.

Po latach 16-tu, odnaleziono grób wielkiego poety, i ozdobiono wspaniałym nadgrobkiem.

Sławą i zaszczytami, których mu za życia odmówiono, uczczono jego pamięć.

Taką zwykle bywa nagroda świata, który, niestety, wieńczy zbyt późno, zapomniane groby zasłużonych.

[1] Niewdzięczna ojczyzno! nie będziesz posiadała mych kości!

# SEN I JEGO ZJAWISKA,

według Karola Gerharda,

streścił **Br. Z...**

We wszystkich czasach i u wszystkich ludów przywiązywano wielkie znaczenie do mistycznych objawów życia duszy i poświęcano im gruntowne badania. Tkwi to już w istocie człowieka, że wszystko, co się pokrywa tajemniczą osłoną, wywiera nań urok niewysłowiony. Jeżeli można to powiedzieć o każdym w ogóle przedmiocie podobnym, nasuwającym się naszej myśli i obserwacyi, o ileż bardziej zajmować nas muszą takie zjawiska, których polem jest — nasze własne wnętrze.

Fakt więc, że zjawisko tak codzienne, tak powszechne, jak sen, stanowi dla nas tajemniczą zagadkę, daje nam się dotkliwie częstokroć uczuć.

Otoczeni wprawdzie dokoła jesteśmy podobnemi zjawiskami, które niemniej są dla nas niewytłumaczonym sfinksem, gniecie nas zewsząd tłum zagadek, najżywiej wszakże zajmują nas te, które wiążą się najściślej z naszą własną istotą. Wszędzie zresztą, w najbardziej zagadkowych zjawiskach, zdaje się przemawiać władza pewnych praw,—jakkolwiek niezbadanych dotąd, to chociaż przeczuwanych.

Sen tylko zdaje się nie podlegać żadnym prawom, przynajmniej śladu ich nie dostrzegamy; co nocy przenosi on nas w świat zupełnie obcy, prawie cudowny, z którego dziwnymi kształtami i losami, napróżno staramy się powiązać wydarzenia dni bezpośrednio poprzedzających, lub chočby najodleglejszych.

We śnie, każdy z nas myśli, mówi, działa w sposób to rozsądny chwilami i trzeźwy, to znowu idyotyczny, bezmyślny, dziwaczny; to przesuwają nam się obrazy i działania z łudzącą prawdą i żelazną logiką, działające osoby zachowują się, jak istoty obdarzone wszystkiemi władzami umysłu i serca, tak, że nie bez słuszności nazwaćby można sen ukrytym w człowieku poetą; to znów przeciwnie, przenosi nas w sytuacye tak nieprawdopodobne, tak nierozsądne, maluje nam obrazy tak fantastyczne, że wielką Schopenhauer miał racyę, nazywając sen krótkiem szaleństwem, a szaleństwo długim snem. Dodaj-

my do tego plastyczną dokładność wyśnionych obrazów, łudzący pozór rzeczywistości, jaką treść snów przybiera, a więc przymioty, które go różnią od zwyczajnych wytworów wyobraźni, a znajdzie się dosyć powodów, aby usprawiedliwić żywe zajęcie, jakie oddawna obudzał.

Rozliczne poglądy na istotę snu i wartość jego w porównaniu ze stanem pełnej świadomości, dadzą się podzielić na dwie kategorye: jedni uważają stan senny w porównaniu ze świadomością dnia, jako coś wyższego, doskonalszego w porządku życia duszy, jako spotęgowanie się bytu; inni przeciwnie twierdzą, że sen jest chwilą umorzenia się, osłabienia i znicestwienia w nas ducha.

W starożytności, pierwszy z tych poglądów miał niezmierną przewagę.

Wprawdzie spotykamy u niektórych filozofów, a zwłaszcza u Arystotelesa, próby psychologicznego wyjaśnienia istoty snu, w ogóle jednak ludy starożytne, a nawet grecy, upatrywali w śnie tajemnicze proroctwo. Jak u Homera zesłany przez Zeusa bożek snu spływa na człowieka, aby mu zwiastować ważne tajemnice, tak i później wyobrażano sobie ten fakt życia wewnętrznego nieinaczej: sen był dziełem bogów i demonów, i uważano go za wyrocznię, z której wnioskowano o przyszłości.

Podobne znaczenie przypisywali snom Izraelici, jak wiadomo ze Starego Testamentu, tylko, że źródłem ich był tutaj Jehova, a nie bogowie. To pojęcie przeszło od nich do Chrześcian, i pasmem stuleci dochowało się aż do naszych czasów.

Wszakże i dziś jeszcze kwitnie wśród ludu zwyczaj tłumaczenia snów, jako rzekomych proroctw przyszłości, pielęgnowane bądź-to ustną tradycyą, bądź podsycane drukowanymi sennikami, które spekulanci, ufając w łatwowierność mass, rozszerzają. Nietylko wszakże wyobrażenia podobne przechowały się u ludu, który w śnie upatrywa wyższe objawienie się ducha; umiejętność, zajmująca się tym przedmiotem, szła tymże samym torem, a nawet w stuleciu naszem takie pojmowanie rzeczy, na nowo silniej się ugruntowało.

Szczególnie szkoła filozofa niemieckiego, Schellinga, zamiłowana w badaniu mistycznych objawów życia duszy, wywołała prawdziwe bałwochwalstwo snu w umysłach płytszych, a łatwo się dla cudowności rozgrzewających.

Według G. H. Schuberta, dusza w czasie snu wychodzi z ciała, i wstępuje w świat innej rzeczywistości.

„Chociaż całun zmroku pokryje nasz horyzont, słońce jednak nie schodzi z ponad świata, a tylko dzień promienny innym podążył szlakiem, tam,—poza daleki ocean — gdzie palmy kwitną; tak i dusza ludzka, gdy ciało jej w sen się pogrąży, wpływa w tę drugą, wyższą sferę, z której wzięła początek, jak ciało z żywiołów ziemi. W tej nocy, ciała władną nią światła i siły wyższego, odległego świata gwiazd niebieskich. („Historya duszy“ p. 226). „Dusza zdobywa sobie wtedy odmienną drogę spostrzegania i poznawania od drogi zmysłów, inną drogę działania na zewnątrz, niż za pomocą nerwów i muskułów“ (p. 382). Zwłaszcza przy obserwacyi somnambulizmu, otwiera się pole wygodne dla mistycznych wyobrażeń; podziwiana zręczność lunatyków pobudza Schuberta do takiego wynurzenia: „Istotnie, zdaje się, że tutaj nawet ciało ulega sile przyciągającej innej, niewidomej natury, która w taki sposób równoważy przyciąganie niższego, materyalnego świata, tudzież skutki ciężkości, która traci całą swą siłę,“ a w magnetycznem jasnowidzeniu, zdradza się według niego „nowy, poznanie świata zewnętrznego, umożebniający organ w okolicy komórki sercowej, organ, który zastępuje zmysły, mające siedlisko centralne w mózgu“ (p. 384).

Nie będziemy wyliczać mnogich głosów, które dały się słyszeć w pokrewnym duchu, przypomnimy tylko: Justyna Kernera i Junga Stillinga. Ale i dziś jeszcze, u niektórych pisarzy, napotykamy podobne wyobrażenia.

Czcigodny J. H. Fichte, w rozprawie: „O śnie, przeczuciu, wizyi i pokrewnych tymże objawach duszy,“ wyraża się tak: „W nich otwiera nam się, jakoby przelotną błyskawicą oświetlona głębia naszej własnej istoty, zdradzając nieprzeczuwane przedtem siły.... Dopiero w zespoleniu obu stanów: czuwania i snu, wypowiada się cały człowiek. Pierwszy z tych stanów, tłumaczy go tylko w połowie, i to w mniej zajmującej, podrzędniejszej połowie.“

W antropologii swojej oświadcza Fichte, że stwierdzone w zwyczajnym stanie świadomości ścisłe zespolenie ducha z ciałem, nie jest warunkiem niezbędnym świadomości, że to zmysłowe ciało jest raczej tamą, opóźniającą funkcye życia duchowego; w chwilach zaś ekstazy, a zwłaszcza w śnie, związek ten się przerywa, duch uwalnia się niejako z więzów ciała i mózgu, a tem samem zdolnym jest do wyższej działalności.

Przeciw takiemu wszakże pietyzmowi dla snu, dadzą się podnieść doniosłe zarzuty. Przedewszystkiem nasuwa się na uwagę ważny fakt, że obok obrazów wzniosłych, szlachetnych i pięknych, które sen nasuwa, napływają szpetne, wstrętne i głupie. Jakżeby się to wiązało z tym wyższym, szlachetniejszym bytem, w którym uczestniczyć ma dusza, pogrążona we śnie? A cóż dopiero owe bezmyślne, śmieszne częstokroć działania, które śpiący i lunatycy podejmują, że tu przypomnimy tylko lunatyka, który w śnie, zastrzelił współtowarzysza swej sypialni; czyż i na niego spłynęło to światło „wyższego, gwieździstego nieba,“ które otwiera się przed duszą, uwolnioną od wpływu materyi mózgowej?

Dalszym argumentem przeciw temu oswobodzeniu się duszy z ciała, które ma się snem wyrażać, jest natura i forma obrazów sennych. Są to wszystko przedmioty ,c kształtach, podpadających nam zwyczajnie pod zmysły, i stanowiących osnowę zwykłych wyobrażeń; jakkolwiek obserwacya ich nie odbywa się drogą zmysłową, to wszakże, nie różnią się one niczem od wyobrażeń, tworzących się w stanie pełnej samowiedzy. Przedmioty, które poznajemy drogą sennego widzenia, mają tę samą formę, jak przedmioty zwyczajnej obserwacyi zmysłowej, co nas uprawnia do wniosku, że poznawanie senne zawisło od tych samych materyalnych warunków, co poznawanie zmysłowe, czyli, że i ono nie obywa się bez pośrednictwa mózgu. Do tegoż samego wniosku, doprowadza i ta okoliczność, iż sny wywołać możemy sztucznemi sposobami, za pomocą tak zwanych narkotyków, czyli środków usypiających.

(d. c. n.)

# WIEŻA NA DAGÖ.

NOWELLA

A. JÓKAÏ'A,

przekład

A. CALLIER.

(Dokończenie).

— A przecież musi być coś w tem prawdziwego, bo ten odgłos dzwonu, właśnie zwabił nas w tak niebezpieczne miejsce, że gdyby nie nagły brzask dnia i opadnięcie mgły w tej chwili, już i ja, i mój trzymasztowiec, bylibyśmy tam, gdzie kwitną korale. Największy czas już było zarzucić kotwicę. Zkąd przecież pochodził ów odgłos dzwonu? Możnaby sądzić, że z wieży którego kościoła na Dagö, gdyby nie to, że wyjąwszy w Boże Narodzenie, dzwony kościelne nie odzywają się w nocy.

— Nie mógłbyś mi pan czasem, wyjaśnić tej zagadki?

— Może i mógłbym.

Podczas mgły gęstej i ja sam słyszę nieraz ten dźwięk dzwonu, i objaśniam sobie zjawisko to na czysto naukowo-przyrodniczej drodze, nie uciekając się do baśni ludzi. Odgłos ten istotnie pochodzi z latarni morskiej w Gustavsvörn. Mocna mgła wywiera ciśnienie na ton, który po morza cichego powierzchni, biegnie dwakroć dalej, niż zwykle. Dźwięk zawsze jest daleko silniejszym w parą przesiąkłej atmosferze, niżeli w zupełnie czystej.

— I ja to wiem. Ależ ten mylny kierunek?

— Ma niemniej całkiem proste rozwiązanie. Prąd mgły idzie od południo-zachodu, to więc przeszkadza, by oddźwięk w prostej linii od Gustavsvörn dochodził. Natomiast ton odbija się tem silniej od skalistych ścian wyspy Dagö, dla tego to wydaje się jakby dzwoniono tu, na wyspie.

— To pewna. W tym razie wszakże, skoro skaliste ściany wyspy, odbijają tylko dźwięk dzwonu Gustavsvörnskiego, musi też w tym punkcie, dźwięk ten być najgłośniejszym.

— I tak też jest. Niejeden raz już to zauważyłem.

— No, więc o tem też właśnie pragnę sam przekonać się na miejscu i w tym celu pozostaję tu na noc.

— Co mi sprawia prawdziwą przyjemność.

Komodor udawał, że go zajmują niezmiernie nauki przyrodnicze. Prosił swego gospodarza, by mu wyjaśnił, do czego służy ten, lub ów instrument? Udawał, że niewidział nigdy stosu Wolty i innych najpowszechniej znanych przyrządów. Był przecież w pokoju jeden przedmiot, którego celu nie mógł sobie wytłomaczyć, a o co pytać byłoby niewłaściwem. Był to długi, gruby sznur jedwabny, idący od sufitu. Co to być może? No, cóżby? Sznur od dzwonka. Ale pocóż on tutaj? Jedyny sługa domu, przecież jest jak pień głuchy, na niego chyba niktby nie dzwonił. Fieodor jednak odsunął tak swój fotel przed ów sznur zwieszający się, że zbliżenie się doń było zupełnie niemożebnem.

Rozmawiano potem o experymentach, rozmowę przeplatając winem; i tak noc nadeszła. W przyległym pokoju można było słyszeć rozmowę dwu chłopców; życzyli Maszy dobrej nocy, następnie wyszli do swego sypialnego pokoju. Potem słychać było jeszcze głośne westchnienie: „ O! mój Ty Boże kochany!“ To kobieta polecała swą duszę szczęśliwej krainie sennych marzeń.

Za chwilę spać będą wszyscy troje.

— Możemy teraz przejść już do mego obserwatoryum—ozwał się Fieodor powstając z swego fotelu—będziemy nasłuchiwać dźwięku dzwonów.

Mówiąc to, podszedł do kominka, by zapalić ręczną latarkę.

Skoro tylko Fieodor opuścił swe miejsce i odwrócił się plecami do Zenona, postąpił tenże szybko do sznura i pociągnął zań gwałtownie.

Natychmiast ozwał się głębokim, stłumionym jękiem dzwon ukryty.

— Ha! Tu więc jest dzwon! — zawołał z tryumfującą wściekłością Zenon.

— Nieszczęśliwy! — zgrzytnął przytłumionym głosem Fieodor — sam dałeś znak.

Zenon wydobył z pochwy szablę i skoczył do drzwi prowadzących na schody: Fieodor zaś był bezbronnym. Komodor rozwarł drzwi i zagwizdnął na swej żeglarskiej piszczałce.

Na ten ton przenikliwie głośny, słyszeć się dały spieszne, męzkie kroki na ciemnych schodach.

— Pochwyćcie tego człowieka i zwiążcie! — rozkazał Zenon ostrzem swej szabli, ukazując Fieodora.

Ale ci—pochwycili jego samego, wyrwali mu szablę z ręki i związali w tył ręce. Nie byli to bynajmniej jego żołnierze, lecz towarzysze Fieodora. W mgnieniu oka przywiązano go do fotelu, na którym dotąd siedział, i zanim zdołał krzyknąć, zakneblowano mu usta.

Wtedy chłodny, urągający, stanął pred nim Fieodor.

— Dowiedziałeś się więc taraz g d z i e dzwoniono i n a k o g o dzwoniono? Dowiedzże się jeszcze k t o dzwonił. Ja jestem kapitan Fieodor von Ungern, któregoś ty zdradził, któregoś oskarżył, i któregoś ty wydał na wygnanie; któregoś zrobił nieszczęśliwym, nędznym i bannitą, którego żonę tyś uwiódł, którego dziecko kazałeś napiętnować.

Od owego dnia innej nie miałem myśli, nad myśl zemsty. Na to wzniosłem tę wieżę, by okręty twego narodu, rozbijały się o tutejsze skały. Zniweczyłem już sześćset okrętów, twój dumny liniowiec rozpocznie siódmą setkę. Na uderzenie dzwonu, za którego sznur pociągnąłeś, wypadli moi ludzie z swej kryjówki i pomordo-

wali pewnie wszystkich twych żołnierzy. A teraz, przywdzieją ich mundury i na twej własnej łodzi popłyną do twego statku. Ha! toż dopiero będzie krwawa łaźnia! A gdy wszelką iskierkę życia zeń zdmuchną, wówczas podpalą okręt i spłonie! Ty zaś, będziesz się mógł przypatrywać pysznemu temu widowisku z okna tej wieży i cieszyć się niem aż do chwili, w której okręt z ostatnim trzaskiem wyleci w powietrze. Na huk ten, wtedy obadwaj chłopcy wypadną z swego pokoju wpół rozebrani. I wówczas powiem memu chłopakowi: „Patrzaj na to piętno, wypalone na twem ramieniu, co cię na wieki wygnało ze świata, co ci uczyniło niemożliwem nazwać kiedybądź uczciwą kobietę twą żoną, co ci zabrania przyznać się do twego nazwiska: to piętno hańby, co cię pogrzebało za życia, i zanim w niem zawiniłeś — potępiło na zawsze; to ten człowiek cię niem naznaczył... to dar jego! Ten, ot tam, wydarł ci podstępnie cały majątek, wydarł ci serce twej matki, wydarł ci świat cały.... On twego ojca zrobił szatanem, a świat ten tobie zamienił w piekło. I człowiek ten, ma syna. Toż stoi on tutaj. Ten chłopak jest przyczyną, że twoje życie takie teraz nędzne. On niemiał prawa na świat przychodzić; samem swem urodzeniem—mnie i ciebie wymazał z rzędu żyjących. On jest złodziejem co ci skradł nazwisko. Macie tu dwa pałasze. Rzućcież się na siebie!" a wówczas będziesz mógł nacieszyć się widokiem, jak mój syn zabija ci dziecko. Być może, że obadwaj w tej walce utracą życie. Mniejsza o to. My im się będziem przyglądać spokojnie, w milczeniu. A skoro oni się z sobą załatwią, wówczas rozwiążę twe więzy. Wtedy przyjdzie kolej na nas. Bo nie sądź, że ja cię zamorduję podstępnie. Nie, dam ci miecz w rękę, i niech nas sądzi... szatan i piekło... Nieście go!..

Skrępowany człowiek wił się w niemej boleści, a oczy jego poglądały błagalnie na brata. Ale ten był jak marmur zimnym.

## X.

Dzieło piekieł jest więc jednak doskonałem! Szatan nie oszukuje tych, co mu służą wiernie.

Ale byłże on mu wiernym rzeczywiście?

Nie przekroczyłże potajemnie religii piekła, kiedy znosił w swym domu ludzką istotę, która, zanim głowę do snu złoży, wzdycha: „O! mój Ty Boże!"?

I czy ta głowa rzeczywiście jest już w czarodziejskiej snów dziedzinie? Czy śpi kobieta?

Czyliż czasem nie słyszała wszystkiego, co tu mówiono; wszystkich tych okropności, których nie przeczuwała dotąd. Niemożeż go zdradzić?

Wszedł do przyległego pokoju z lampą w ręku. Poświecił nią w twarz dziewczyny. Leżała przed nim z zamkniętemi oczyma. Obie ręce złożone były na piersi, spokojnie się podnoszącej i opadającej z oddechem.

Podziemny duch poszepnął mu, że ta kobieta umrzeć powinna.

Mogła przecież słyszeć wszystko i udawać tylko śpiącą.

Położył rękę na jej sercu, a w drugiej ręce trzymał wyostrzony sztylet, tak, że jego ostrze dotykało piersi dziewczyny.

Jeśli tylko gwałtowne bicie serca zdradzi, że czuwa, sztylet ten przebije jej serce. Ale ona pozostała spokojną zupełnie.

Twarz jej poczęła się uśmiechać, usta wymówiły jak przez sen:

— Nie łechtaj mnie słomką, Saszo!

I apostoł piekła, nie miał odwagi wbić jej stal w piersi.

Demon jego napominał go przecież: „Jednakże ty nie jesteś moim w zupełności: jeszcze jedno dobre uczucie w tobie pozostało, ono cię zgubi."

Nie miał siły zabić dziewczyny.

Uspokoił się tem, że spała i nie słyszała tego, co zaszło.

Zdawało mu się, że dostatecznie będzie, klucz od schodów, prowadzących do ogrodu, zabrać z sobą.

Tak wszyscy będą dobrze zamknięci.

Opuścił ją, i poszedł do swej pracowni na górę.

. . . . . . Ale dziewczyna nie spała. Przeciwnie, słyszała wszystko co do słowa.

Zapanowała nadludzką siłą ducha nad przerażeniem i obawą śmierci,—udała, że śpi wówczas, gdy sztylet skierowany był ku jej piersi, w ręce człowieka, którego dziś dopiero poznała—w całej jego przewrotności.

Skoro tylko ucichły jego kroki, zerwała się z łóżka, pobiegła do śpiących chłopców i zbudziła ich.

Spali dłoń w dłoni.

— Godzina śmierci waszej bliska.

Powiedziała im wszystko, czego się dowiedziała sama.

— Musicie wzajem się zamordować w oczach waszych ojców.

Obaj chłopcy drżący, przycisnęli się do siebie.

Nie drżeli oni przed śmiercią, ale przed myślą, że ich ojcowie tak się nienawidzieć mogą.

— Uciekajcie ztąd!

— Dokąd? drzwi na ogród zamknięte.

— Tu, przez to okno do ogrodu, a potem przez morze, na nadbrzeżne skały. Tam znajdziecie łódkę, na niej możecie się dostać do okrętu.

— Wszakże i ty ujdziesz z nami?

Masza spiesznie pocięła wszystkie prześcieradła i powiązała je razem. Wszystko to przecież nie wystarczało jeszcze. Wtedy weszła do jadalnego pokoju i odcięła długi sznur od dzwonu: teraz długość liny była dostateczną.

Noc była ciemną, sprzyjającą ich ucieczce.

## XI.

Obaj bracia byli na górze w gloryecie.

Zenona związanego w fotelu, postawiono u otwartego okna. Fieodor zaś siedział przed wielkim teleskopem i śledził przez szkła jego, stojący na kotwicy okręt. Potem mówił wszystko co się tam widzieć dało.

— Załoga przy odgłosie bębna zbiera się na wieczorną modlitwę—głupcy!

— Stawiają straże, spuszczają flagę.

— Kapitan idzie do swej kajuty, porucznik pozostał na tylnym pokładzie.

— Majtek w koszu masztowym, łyknął z butelki i kładzie się spać.

— Okna ciemnieją pokolei, jeszcze tylko w kapitańskiej kajucie widać światło. Teraz już wszyscy zasnęli w Panu! Dobranoc!

— No, bracie, teraz na ciebie kolej patrzeć.

Moi zuchy siedzą już w twej łodzi i w swoich łódkach. Uderzenie w dzwon, będzie znakiem, że wszystko w porządku.

Z temi słowy, pozostawił Zenona samego w pracowni.

Skrępowanemu komodorowi, udało się jedną nogę o tyle uwolnić z sznurów, że stopą mógł dosięgnąć podłogi. Tą nogą oparłszy się, posuwał się ku brzegowi okna, tak długo, aż wreszcie rozpaczliwym wysiłkiem, zdołał przeważyć fotel naprzód, w otchłań wodną. Dla niego—nie było już na tej ziemi żadnych widoków.

Fieodor zszedł aż do jadalnego pokoju, zkąd zwykle pociągnięciem sznura uderzał w dzwon ukryty w zamurowanej skrytce wieży. Stanął zmartwiały z przestrachu, zobaczywszy, że sznur odcięty.

Wpadł do przyległego pokoju; łóżko Maszy było próżne. Pobiegł do sypialni swego syna, i tu nikogo. Otwarte okno, i w wietrze powiewająca lina, oznajmiły mu, że uciekli.

Teraz już zapóźno było, krzykiem wściekłości wstrząsać mury twierdzy. Teraz już daremnie mieczem przebijać puste łoże, z którego uciekła mu ofiara; daremnie oskarżał to serce, że dało przytułek jeszcze jednemu uczuciu!—To było mu zgubą.

W bezgranicznej wściekłości wpadł pędem na gloryetę, by całą swą zawiedzioną zemstę nakarmić tą jedną ofiarą, co mu już uciec nie może. I ta przecież zniknęła. Nie znalazł go na miejscu, gdzie go był pozostawił. Wychylił się oknem i zawołał nań po imieniu.

Żadne nie dobiegało go echo. Tylko fale opowiadały coś skałom.

A kiedy następnie rzucił okiem na liniowy okręt, dreszcz zimny przebiegł mu ciało. Okna okrętu wszystkie były jasno oświetlone, a ludzie stali w szeregach za parapetem.

— Jestem zdradzony! — krzyczał w rozpaczy i klął, i wyrzekał się szatana. I szatan nie istnieje! — Nic niema!

## XII.

O brzasku dnia dowiedział się Fieodor, jakie tam zmiany zaszły na świecie.

Od strony wyspy gromadziły się masy uzbrojonego ludu i zbliżały ku jego oszańcowaniu, a okręt liniowy zwracał długi bok swój, ku jego wieży, silny potrójnym armat rzędem.

Ale cóż-to. Okręt musi trzymać się zdala, a pospolite ruszenie nie umie walczyć.

Nim wszakże przyjdzie do walki, zgodnie z zwykłym trybem, oblegający wzywa fortecę, by się poddała bez krwi przelewu.

Przychodzi jego wielebność, pan Weimöner, w towarzystwie herolda, jako zwiastun pokoju do bramy szańców, i dźwiękiem trąby zwołuje do pokojowej ugody.

Fieodor posłał mu garbusa, który grał był rolę odźwiernego. Ten jest głuchy, niechajże sobie do niego przemawia.

Ale garbus nie jest głuchy, gdy nim być nie chce. Oszukiwał tylko oszustów. To też zrozumiał doskonale wezwanie wielebnego, mocą którego, każdemu mieszkańcowi wieży zapewnia się wolne wyjście i bezkarne nadal życie, oprócz tego jeszcze, tyle skarbów, ile ich unieść mogą jego ramiona, jeśli tylko wydadzą żywcem pana wieży, w ręce karzącej sprawiedliwości.

Za powrotem, odźwierny opowiedział to co słyszał, naprzód swym towarzyszom, którzy trzymali straż u bramy: ci podali to dalej.

A skoro wtedy ich apostoł wszedł pośród nich, zebrali się wszyscy wokoło niego i poczęli słuchać bacznie.

— Zuchy!—ozwał się Fieodor,—teraz przyszła na nas ogniowa próba; pokażę światu, co umie działać takich czterdziestu ludzi, jakimi wy jesteście, z pomocą takiej twierdzy skalistej jak nasza.

Mamy pyszne działa, amunicyi i żywności choćby po koniec świata dosyć. Rozbijem w puch wszystko, co się zechce do nas zbliżyć na tę skałę, a każdy okręt, co się odważy na ogień dział naszych—zatopim. Gdyby zaś miano nas pokonać—wysadzim naszą wieżę wraz z wrogiem w powietrze.

Dalej więc, przyjaciele, chwyćcie za ogień i żelazo!

Innym razem taką przemowę powitałby był głośny okrzyk „hurra!" — teraz przeciągnęły się tylko twarze.

Wówczas garbaty wystąpił z pośrodka nich.

— Słuchałem ja uważnie pięknych słów waszych, panie, boć ja nie zawsze jestem głuchym, i powiedzieć muszę, że to śliczna religia, ta..... której nas uczyłeś: „Co dla mnie dobre, to jest dobrem; co innemu jest złem, nie jest złem." „Wierność jest cnotą, a więc to nie dla synów piekła."

Pysznie! Nam przyrzeczono wolność i wór pełen twych skarbów, jeśli cię żywcem wydamy, to jest dla nas dobre, a więc jest dobrem; ciebie, panie, prawdopodobnie roźwiertują: złe to dla ciebie, a więc złem nie jest. Skoro i tobie nie dochowamy wiary, zasłużymy na zupełne zadowolnienie szatana, boć wierność jest cnotą. Wolimy więc wydać im ciebie, niż z tobą razem wylecieć w powietrze.

Wszyscy zaśmiali się głośno.

I Fieodor śmiał się wraz z nimi.

Byłto tryumf jego religii.

„Co dla mnie jest dobre, jest dobrem; co dla innych jest złem, to nie jest złem."

Znakomicie pojęli jego nauki:

— Ale mimo to jednak... nic nie dostaniecie!

Zanim zdołali go ująć, wyjął z zapasa pistolet i strzałem roztrzaskał sobie czaszkę.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Aleksander i Paweł powrócili nazad do kraju, i bez sporów rozdzielili majątek ojców między siebie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Wieża na Dagö zaś, sterczy wciąż jeszcze na skałach nadbrzeżnych wyspy, i służy za bezpieczny przytułek wszystkim orłom i mewom okolicznym.

KONIEC.

## SPROSTOWANIE.

W N-rze 14-tym niniejszego pisma, w artykule „Z tygodnia,“ wkradły się niektóre pomyłki; i tak: na początku artykułu w wierszu 9-tym opuszczonym jest wyraz: „zaznaczając“ powinno być: „u wstępu zaznaczając.“ W szpalcie trzeciej, w wierszu 43-im — zamiast: „właściwem sercem,“ powinno być: „własnem sercem;“ zaś w tejże szpalcie 6-ty wiersz od dołu, zamiast: „na dachu... kuchnia, konie i krowy,“ — powinno być: „na dachu kuchnia. Konie i krowy chcąc się...“ — co się niniejszem prostuje.

## Dla wiadomości Osób

na prowincyi zamieszkałych, które przysłać pragną miarę na fasony z bibułki, lub zamówienia na robotę w **naszej pracowni**, podajemy sposób dokładny brania miary.

Miara bierze się w następujący sposób:

1) Długość pleców od szyi do talii.
2) Szerokość pleców, gdzie się zaczynają boczki pierwsze w staniku.
3) Długość przodu od szyi do talii.
4) Szerokość piersi.
5) Objętość w gorsie, t. j. przeprowadzić miarę pod pachami przez całą figurę.
6) Objętość talii.
7) Długość rękawa.
8) Długość spódnicy z przodu.
9) Długość spódnicy z tyłu.

Do oznaczenia miary, używamy miary francuzkiej, metra podzielonego na centymetry.

Wszystkie długości przy braniu miary, piszą się w całości, a szerokości w połowie.

**Pracownia sukien**, przy **szkole rzemiosł** istniejąca, przyjmuje zamówienia na **suknie**, **okrycia** i **dziecinne ubranka**. Prenumeratorki z prowincyi, przy zamówieniu, dołączyć powinny wyżej wskazaną miarę.

Cena sukni wełnianej z naszego materyału od rs. 25 i wyżej.

Cena okrycia . . . . od rs. 20 i wyżej.

„ ubranka dziecinnego od rs. 3 i wyżej.

### OGŁOSZENIA

**przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.**





**Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, „Anna Hereford,“ ark. 5.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Апрѣля 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**